

Nazywam się Józefa Ciebiera z domu Jadach. Urodziłam się 16 II 1922 r. w Bukaczowcach powiat Rohatyn województwo staniskawowskie.

© ARCHIWUM WSCHOBNE

Moi rodzice Rozalia z domu Kujbida i Walenty pobrali się w 1922 r. Byli rolnikami i mieli gospodarstwo 18 hektarowe. Matka pochodziła z Bukaczowiec, a ojciec urodził się ok. 10 km od nas na Łukowcu Wiśniowskim. Potem przyjechał i 5 km od nas założył polską wioskę, w której mieszkali sami Polacy i tylko 2 Ukraińców. Dziadek ze strony ojca pochodził ze wsi Jadachy (centralna Polska). Ojciec służył w czasie I wojny światowej w wojsku austriackim, później był w niewoli we Włoszech, a potem wstąpił do Armii Hallera. Z Armią Hallera przyjechał do Polski. Nie był kolonistą, bo dostał część ziemi po rodzicach, którą sprzedał, a potem na parcelacji kupił pole.

Przed wojną należałam do Koła Młodzieży Wiejskiej. Ojciec należał do Stronnictwa Ludowego, był chorążym, nosił sztandar. Przed wojną ukończyłam 7 klas szkoły podstawowej oraz kursy organizowane w Kole Młodzieży Wiejskiej przez współpracowników Uniwersytetu Ludowego w Przeworsku, Politechniki Lwowskiej (przez 3 zimy) - m.in. kurs księgowości. Mogłam nawet iść do pracy, ale ojciec powiedział, że nie będzie morgów sprzedawał i płacił za mnie manka. Pracowałam w domu przy gospodarstwie. Gospodarstwo było dosyć duże i jak byliśmy mniejsi, ojciec trzymał nawet służbę, później gdy podrośliśmy, sami robiliśmy ja np. chodziłam za końmi. Tylko na żniwa z gór przychodzili ludzie do roboty. Płaciliśmy im za 3 tygodnie pracy zbożem. Po żniwach ojciec odwoził ich do Kałusza.

We wrześniu 1939 r. Ukraińcy bardzo się cieszyli z wkroczenia Armii Czerwonej. Polacy nawet bali się chodzić do kościoła, bo pełno było tej dziczy. Odkąd Sowieci weszli odtąd zaczęli pisać. Pisali, pisali aż w końcu przyjechali do sąsiada, zrobili zebranie. Kogo tam zawołali i poszedł, tego wywieźli później na Sybir. Zresztą Polak Polaka wydawał...

Ojciec z matką musieli pójść na wybory, ja byłam małoletnia, nie

miałam skończonych 18 lat, więc nie poszłam.

Pewnego razu byłam w mieście i zauważyłam, że najechało bardzo dużo ruskiej milicji. Słyszeliśmy też, że na stacji stoją wagony z kominami (my mieszkaliśmy daleko od stacji). Przyszłam do domu, a tu przyleciało 2 chłopaków od sąsiada. Gdy przyszedł ojciec powiedziałam im, że będzie coś nowego, bo stoją wagony towarowe z kominkami. Sąsiad powiedział: "Chłopcy, nie będziecie w domu nocować, bo to pewnie chłopaków będą wywozić."

Do wywożenia wzięli ludzi z innych wsi. Przyjechali w nocy, nad ranem. Zajechali do sąsiada - pukali i pytali się o nas. Przyszli do nas i jeden z pistoletem powiedział do ojca, który był z Armii Hallera, ("piłsudczyk", jak oni mówili) "Ty nas bił w 20 roku". Posadzili tatę, że nie można się było jemu ruszyć. Ten z pistoletem stał koło ojca. Mama ubierała dzieci. Oprócz mnie i siostry, która miała już skończonych 16 lat było jeszcze czworo młodszego rodzeństwa: Janek, Czesia, Staszek i najmłodsza Frania. Nie mówiono nam, dokąd nas biorą. Na pakowanie nie zostawiono nawet pół godziny. Płacz, krzyk, gwałt dokoła a ja sama musiałam wszystko pakować, bo moja siostra tylko się kłóciła. Gdy ten Ruski spytał się: "Skolko tiebia liet?", a ona odpowiedziała, że 16, on rzucił do niej "Ty durna". Ona odpowiedziała "U mnie w pięcie więcej rozumu, jak u ciebie w głowie. Jakbyś miał dobrze w głowie, to byś nas w nocy nie budził i nie zabierał z domu!"

Ojciec akurat powiózł pszenicę do młyna, nie było więc mąki - tylko 10 kg. Miał w sobotę rano pojechać, a w sobotę nas wywieźli. Wzięliśmy tylko żytniej mąki pół metra. Bielizna była wyprana z 3 tygodni i powieszona na strychu. Wiem, że przyniosłam to do kuchni położyłam na łóżku i ...zniknęła. Musiał któryś z tych trzech, którzy po nas przyszli, to machnąć.

Na strychu była nasypana fasola - stara, z roku na rok stała. Ten Ruski pyta się, czy to się je. Ja odpowiedziałam, że tak, a on

mówi do mnie: "Bierz to, tam niczego nie ma". Wysypał nasiona buraków cukrowych z dużego papierowego, półmetrowego worka. Ja zapakowałam tam tę fasolę, która miała z 10 lat. On sam zniósł to na dół,

Ojciec chciał, żeby jeszcze coś zabić z inwentarza, ale pozwolili tylko wziąć 10 czy 15 kur. Poszłam, ale jak w nocy będę chodziła z nożem i latarką. Ruski więc świecił, a ja głowy kurom ukręcałam i wrzucałam te kury do worka. Gdy <sup>u</sup>przejechaliśmy na stację, ~~te~~ kury jeszcze się rzucały w worku.

Wszyscy coś nieśli, nawet najmłodsza siostra, która miała 5 lat niosła jakiś tobołeczek. Każdy kto wszedł do wagonu, nie mógł już wychodzić. Tymczasem zostało pół metra tej mąki żytniej na saniach. Woźnica, Ukrainiec batem zaciął konie i odjeżdża. Ruski skoczył, w biegu złapał tę mękę z sani i rzucił do wagonu mówiąc: "żebyście znali moje dobre serce". Przywiezino nas na stację naszymi końmi - widzieliśmy jak później ten Ukrainiec odjechał z naszymi końmi.

W wagonie były 32 osoby. Na środku stał piecyk, wokół piętrowe nary. Wagon był tak dziurawy, że włosy przymarzały z mrozu do desek wagonu. Trochę kręcili z nami po Polsce, bo wieźli nas pod Stanisławów, bo tam zbierali transport, później stamtąd do Halicza, bo tam przyłączyli także do transportu wagony. Potem przywieźli nas do Lwowa.

Dużo ludzi uciekało, ja też się zebrałam. Chciałam to zrobić, gdy szłam po wodę. Ale gdy wychodziłam z wagonu i mam<sup>y</sup> zaczęła płakać, wróciłam się. Moja koleżanka, z którą chodziłam do szkoły - Józefa Kochman, uciekła. Poszła na Lewandówkę po wodę. Był akurat Ruski, dobry człowiek, bo zawsze na wagon, na dobę dawali 4 wiadra wody (2 ludzi szło po wodę) a wtedy puścił nas więcej. Tam było dużo ludzi, był także jej brat, ubrany w mundur kolejarza, żeby móc bliżej niej się dostać i pomóc jej w ucieczce. Udało się jej uciec, nikt jej nie wydał. Mogłam wtedy także uciec, ale tego nie zrobiłam. Później, gdy chorowałam na Syberii, mama mówiła zawsze: "lepiej, żebyś była uciekła".

Druga ucieczka zdarzyła się w Kamionce Strumiłowej. Kolejarze chodzili tam i otwierali drzwi. Gdy otworzono drzwi, nasza sąsiadka Antonina Skowron wyszła z wagonu, przez okno podali jej walizkę. Akurat zajechał pociąg osobowy na stację-wsiadła więc do niego z jednej strony i wysiadła przez drzwi z drugiej strony jako pasażerka. W naszym wagonie jechali: Kochman z synem, Rałty-5 osób, Żurki-5 osób, nas 8 osób, Malony- 5 osób.

Podróż trwała prawie miesiąc. 3 III 1940 r. zajechaliśmy na Syberię. Była to świerdłowska obłast, 200 km w stronę Czelabińska. Dzień się robił. Widać było małe baraczki przysypane śniegiem. Pomyślałam sobie żeba nas nie zwaliali w te baraczki. Podwieźli nas 4 kilometry i część ludzi wyładowali z wagonu. Były tam garaże na traktory, a w nich ~~z~~ ustawione nary. Oni przygotowywali na miesiąc naprzód-myśmy jeszcze w domu byli, jak oni to przygotowali.

Po wysadzeniu części ludzi pociąg cofnęli o 4 kilometry do tyłu i naszwalili. Miejscowość ta nazywała się Krutojary. Było tam 14 małych baraków po 4 rodziny i 5 dużych baraków.

Ile nas było-nie wiem, mówiono później, że było nas 600 ludzi, gdy nas wszystkich Polaków zgrupowali razem.

Gdy wyskoczyłam z wagonu, to wpadłam w śnieg po pachy. Podjechały ruskie sanie. Każda rodzina wsiadała na sanie i wieźli ją do baraku. W baraku było ciepło, palił się ogień, podłoga była wmyta, ale poza tym nic tam nie było. Przywieźli nas w sobotę, a w poniedziałek musieliśmy iść do roboty. Dopiero później przynieśliśmy deski i porobiliśmy prycze na całe rodziny.

Robiliśmy w tartaku-my dziewczęta. Przy wyrębie lasu robili przede wszystkim mężczyźni, ale dziewczęta także. Praca trwała 8 godzin. Za 2 tygodnie zarabiał się 15 rubli, tak żeby na bochenek chleba starczyło. Jakby człowiek nie przywiózł czegoś z domu i nie sprzedawał to byłby z głodu zginął. Można było kupić chleb i jedzenie w stołówce

ale nie było pieniędzy. Kartofle kupowało się od kołchoźników. Z początku dawali po 1 kg chleba dla pracującego, a od 1941 r., gdy wybuchła wojna 800 g., a dla pozostałych członków rodziny 200 g. U nas w miejscu zesłania byli sami Polacy. Od nas ze wsi wzięli co prawda 2 rodziny ukraińskie. Nawet w wagonie jechał z nami Ukrainiec. On strasznie rozpaczał: "Was to was- bo się spodziewali, że Polaków wywiozą ale za szczo mene?", a na to Kochman odpowiedział: "Was na zakryszku" (tj na zakąskę). Tak więc było parę rodzin ukraińskich- m.in. Malona i Szumski.

Ze wsi ogółem w lutym 1940 roku wywieziono 32 rodziny- m.in.:

Malona-5 osób

Żurek-2 osoby

Skowron-6 osób

Żurek-2+3 dziewczyny (II rodzina)

Szumscy-5 osób

Romańscy-ogółem 5 osób (Romański posiadał cegielnię, prócz niego córka zamężna, której mąż uciekł do Rumunii, wzięta dlatego, że przyszła do ojca w gości poza tym syn, i dziecko zmarło w rodze)

Kaput-5 osób

Jarosz-5 osób

Kuźniar- 7 osób

Kochman-3 osoby

Wróbel-4 osoby

Ozga-2 dziadków

Ptak-2 osoby (z żoną)

Miśkiewicz-5 osób (w tym 3 chłopaków)

Niklewicz-3 osoby

Krzyżak-3 osoby

Pawłowski-5 osób

Lubieniecki-5 osób

Dec-5 osób

Popiel-ogółem 5 osób ( w tym Rudolf Popiel)

Lubienieccy-2 rodziny "z lasu"

Krawiec-8 osób(6 dzieci)

Malkowa-matka z córką

Raut Pietryk-5 osób

Lis Marek-4 osoby(on, żona, 2 synów,córki jako mężatki nie wzięli)

Później jeszcze 2 razy wywozili-m.in. rodziny posterunkowych, ale ich wywieźli w inne miejsca i ich nazwisk nie znam.

Z innych wsi były m.in. 3 rodziny Ząbków, rodziny Kołodziejczykó*9*w, Kobiałków, Babianowie, 2 rodziny Taneluków (gajowi-Ukraińcy), Ho-  
żubiak spod Stanisławowa, Waltuś, Drużyski, Więczław, Matkowski, Gzyl.

Początkowo w jednym miejscu mieszkało nas 9 rodzin z jednej kolonii reszta została wywieziona 6 km dalej.

Po 4 dniach pracy odmroziłam sobie palce u nóg.Gdy człowiek wychodził w zwykłych butach na 40-stopniowy mróz, to jakby bosą nogą po śniegu chodził.Byłam tydzień na zwolnieniu, potem poszłam znowu do roboty.Chodziłam na 2 zmianę.

Pod koniec marca lub na początku kwietnia przywieźli łaźnię w wagonach.Kto poszedł do roboty ten się nie kąpał.My byliśmy pod nadzorem milicji-milicjanci przyszli i wygnali wszystkich do kąpieli.Komendant mówił do mnie, gdy przyszłam z pracy, że po kąpieli będzie mi się lepiej spało.Woda w łaźni była siwa z brudu.Musiałam wykapać się. Mama poszła z 3 dziećmi, także je tam umyła, ale sama się nie umyła. Wyzdychalibyśmy z głodu, gdyby się umyła !Okazało się, że przywieźli tyfus.Kto się kąpał-wszyscy zachorowali od razu.Poszłam na noc do roboty, pół zmiany robiłam i tartak stanął, jedno drugie z roboty prowadziło.Rano poszliśmy do lekarza-zobaczył:"tif" i dał zwolnienia na 5-6 tygodni.Później przyjechał jakiś lekarz ze Świerdłowska. Chodzili badać krew.Pobraną krew zlewali do jednej butelki!Jak przyszli

do nas mieli już pół butelki nabranej od tych chorych. Zbadali to i stwierdzili, że to tyfus. Potem dopiero przyjechało jeszcze dwóch lekarzy ze Świerdłowska. Jeden z nich był to stary, carski lekarz, umiał czytać nawet po polsku. Oni dopiero przepisali jakieś proszki, lekarstwa. Było nas w domu czworo chorych. Każde z nas miało inny tyfus- inne objawy. Ja strasznie wymiotowałam krwią. Jakie tabletki brałam- po jednej od razu wymiotowałam krwią, krew szła mi też z nosa. Jak nie brałam tabletek, to nie wymiotowałam. Byłam tylko jeden dzień nieprzytomna. Lekarz przepisał mi na receptę kaszę manną. Ojciec nie wiedział i kupił zamiast manny kaszę owsianą. Ugotowaną położył na ławce. Zjadłam tylko łyżkę, momentalnie brzuch mi nabrzmał. Mama poleciała od razu po lekarza. Lekarz po chwili przybył. Musieli mnie rozebrać do naga i dawać mi zimne okłady. Chorowałam ogółem 6 tygodni. Najmłodszej siostrze France wystąpiły na twarzy duże, sine guzy bardzo bolesne. Siostrę Czesię zabrali nawet do szpitala, ale wtedy gdy właściwie była już zdrowa, brat natomiast się nie dał. Szpital zrobiono ze szkoły, która znajdowała się w tej miejscowości, gdzie pracowaliśmy.

Śmiertelność była bardzo duża- całe domy, całe rodziny wymierały na tyfus. M.in. u Łobazów zmarło 6-7 osób, u Tynetów umarło dwoje, umarła Łobodzińska, umarła moja koleżanka Władysława Miśków, umarły dwie siostry Samiżłówny .

Umarłych wynosili do komórki, zbijali tam trumnę, krzyż na niej węglem narysowali i wywozili w las.

Nam jako "zakluczonym" nie wolno było pójść, aby coś kupić, ale ludzie się wykradali, najwięcej matki, bo dzieci chciały przecież jeść. Pewnego razu od nas poszli do wioski. Mieszkaliśmy w ostatnim baraku pod lasem. Co cztery baraki przeciętnie był jakiś Polak, który donosił, gdzie się kto obraca. Czy oni coś za to dostawali- nie wiem. Żona tego donosiciela przyszła wtedy akurat do nas.

Spytała się starej babci, która była w baraku, dlaczego sama pilnuje wszystkich dzieci (było ich osiem). Ona odpowiedziała, że reszty nie ma, bo się wybrali do lasu na jagody. Ale tamta coś zmiarkowała. Ta babcia wysłała od razu któreś z dzieci do lasu do matek idących z workami kartofli, żeby zostawiły worki w lesie i pozbierały trochę jagód po drodze. Pod wieczór przyszedł komendant i zawołał jako pierwszą moją mamę. Moja mama bała się, zaczęła płakać, poszedł więc tato. Komendant powiedział mu: "tyś się narobił - idź spać, a ona do roboty nie chodzi więc wyśpi się w dzień". Spytał się mojej mamy, czy chodziła na wieś, ona odpowiedziała, że przynosiła tylko jeść do tartaku, bo zaspaliśmy, a z powrotem zbierała jagody w lesie. Każdą jedną wzywał i całą noc zeszło temu komendantowi na wypytywanie. Żadna się nie przyznała. Wiem, że jedna z kobiet siedziała 2 tygodnie za to, że poszła. Gdyby milicjant złapał kogoś na wiosce, to do razu dostałby roczek.

Można było pisać do rodziny do kraju, przysyłano nawet do nas paczki.

W tej świerdłowskiej obłasti byli sami ludzie przywiezieni wcześniej z Ukrainy. Gdy nas przywieźli, w niedzielę rano przyszła kobieta, która mówi po ukraińsku: "sława Jezusu Christu". Wszyscy się popatrzyli na nią, a ona opowiedziała, że jak komuna nastąpiła, to ich od Kamieńca Podolskiego wysiedlili i aż tu zawieźli. Miała dwóch synów - jednego żonatego, drugiego kawalera. Jak Polacy przyjechali to on z Ruskimi już nie chodził, tylko zawsze z polskimi chłopakami z dwoma Kuźniarami.

Jak wojna wybuchła nie było już niedziel, musieliśmy pracować 12 godzin. W jesieni 1941 r. dali nam wolność, można było iść do wsi i przenieść się do kołchozu do roboty. Kto miał mniejszą rodzinę 1-2 dzieci tak robił, bo w kołchozie przynajmniej można było coś ukraść i w rękawicy przynieść coś do zjedzenia, a w lesie drzewa nie ugryzł...

Jesienią 1941 r. pracowałam na budowie kolei. 5 VI 1941 r. dostałam



urlop, który miał trwać do 5 lipca, ale 22 VI wojna wybuchła i wszystkich z urlopu ściągnięto. W tym czasie mówiono, że znowu wiozą Polaków że transport jest 20 km stąd na stacji. W końcu usłyszeliśmy nadjeżdżający pociąg i wylecieliśmy do torów. Okazało się, że wieźli Żydów, którzy uciekali przed Niemcami. Wagony mieli pootwierane. Jeden z Żydów poznał nawet moją mamę. Żydów podwieźli 4 km do suszarni, gdzie suszodrewno-klocki brzozone-którymi palono w rosyjskich traktorach.

Na wiosnę mówili, że przywiozą Polaków i 12 km od nas wyrąbali las i budowali baraki. Ponieważ te baraki nie były jeszcze gotowe, dlatego tych przywiezinych zwałili do suszarni i dopiero potem, gdy już wykończyli baraki, podwieźli ich tam furmankami. Lekarzem u nas został Żyd, 4 km od nas, tam, gdzie był mój późniejszy mąż był lekarz Żyd, na "240 km" był też Żyd. A polscy dwaj lekarze rąbali las, jak reszta Polaków. Żydzi mieli chleba do syta, nie dostawali go na kartki.

Budowaliśmy linię kolejową-wszystko ręcznie-robili to i Żydzi i Polacy. Ja po urlopie poszłam do budowy kolei, tam pracowało się 8 godzin. W wykopie, który robiliśmy pod tor była bardzo ciężka glina ja nawet jednej łopaty nie dawałam rady wyrzucić na platformę. Majster, który to widział, dał mnie do kopania piasku.

Jesienią 1941 r. gdy dali wolność, to młodzież pojechała do kołchozów, aby zarobić kartofle na kopaniu. Komendant nam wtedy nawet tak powiedział, że, ponieważ jesteśmy wolni, możemy wyjechać gdzie chcemy lub zostać tu na miejscu. Po wykopaniu kartofli młodzież wróciła i na zimę poszli do roboty do lasu. A tu nagle przyjechał prokurator i posadził paru chłopaków, którzy jako przewodnicy dostali rok więzienia, za to, że poszli do pracy do kołchozu. Wtedy akurat tworzyła się armia Andersa-ci, których posadzili, nie pojechali. Resztę młodych zebrał i zorganizował męza brat, który był na ostatnim roku prawa, i wszystkich poprowadził do Bazałuku.

Bardzo dużo pojechało od nas do armii Andersa. Wyjeżdżali ci, którzy

mieli mniejsze rodziny i ci, co byli bogatsi, mieli więcej pieniędzy. W Czelabinsku była polska placówka. Jak nam dali wolność to ludzie zebrali po rublu i dali je na podróż 2 dziadkom, którzy nie musieli pracować. Oni poszli pieszo około 300 km i dali znać, ile jest u nas polskich rodzin. Później przyszli do nas pomoc z Ameryki. Było tam masło, smalec, cukier, mąka, ubrania, swetry, rękawiczki, koce. 4 km od nas był mąż zaufania, doktor szpitala we Lwowie Sztatter (Żyd). Nasza rodzina wtedy też coś dostała m.in. z odzieży.

W latach 1941-1942 wyjechało stamtąd do armii Andersa ok. 200-300 osób.

Gdy wydawali paszporty to karali, jak ktoś nie przyjął. Mąż nie przyjął, ale jemu jakoś nic nie zrobili, za to jego brat siedział 2 tygodnie w więzieniu za to, że nie przyjął... i nie przyjął. Ale to było źle jak, bo jak milicja złapała we wsi mojego stryjecznego brata bez dokumentów, to stwierdzili, że szpieg i przepadł bez wieści do dzisiejszego dnia. Kto w 1943 r. nie miał tego świstka, tego paszportu to koniec.

Gdy Sikorski zginął, byłam akurat na sianokosach. Przyjechał nasz kierownik i powiedział nam, że już będziemy tutaj na zawsze, nigdzie nie pojedziemy, bo "wasz Sikorski pogibł".

W 1941 r. całe ówczesne naczalstwo ruskie poszło do armii, naszym głównym naczelnikiem został Żyd ewakuowany z Mińska. On nikogo nie pędził, ani nie ukarał. Wcześniej zastępcą naczelnika był niejaki Burakowski (z-ca naczelnika lesopunktu). Gdy Polacy chodzili do niego skarżyć się na ciężką pracę, on przenosił ich na lepszą robotę. Później połapali się, że coś on z Polakami za dużo przebywa i zdjęli go z naczelnika i dali go do lasu na brygadzystę. Co on winien, że w jego brygadzie, jak drzewa spuszczały gałąź zawiesiła się na sośnie i jak wiatr zawiął, gałąź spadła i zabiła dziewczynę-Polkę. Za tę dziewczynę dostał 10 lat i poszedł do więzienia.

Jeszcze jesienią 1940 r. 20 dziewczyn dali do kopania kartofli

do sowchozu, około 40 km. od nas. Zbierałyśmy kartofle do wieczora. Dyrektor sowchozu odprawił wtedy wszystkich Ruskich, zostałyśmy same Polki, a wtedy on spytał się nas po polsku: "Jak wam się tu u nas podoba?" Odczyłyśmy go i zaczęłyśmy się go pytać, skąd on się tu wziął. Powiedział, że jego pradziad został wywieziony jeszcze po powstaniu. Mówił, że pradziadek uczył dziadka, dziadek ojca, a ojciec jego nauczył po polsku. Powiedział nam: "Wy tutaj nie będziecie, jak się wojna skończy wrócicie, bo za wami cały świat się upomina. Ale jak będziecie wyjeżdżać, ja z wami pojedę". Codziennie nas odwiedzał. Byłyśmy tam 5 dni, tyle skorzystałyśmy, że razem z siostrą dostałyśmy po 5 metrów perkaliku. Po 5 dniach dyrektor przestał przychodzić. Spytaliśmy się Ruskich, gdzie on się podziewa. Powiedzieli nam tylko, że on za dużo z nami przebywał.

Poza tym był jeszcze w tartaku dziesiętnik Pawłowski. Po polsku mówił kalecząc. Po pewnym czasie zniknął. Jak się spytałam, gdzie on się podział, okazało się, że wywieźli go z rodziną.

W 1943 r., w połowie maja, gdy powstał ZPP, brali do I Dywizji. Chłopców wzięli, a nas dziewczyny wezwali na komisję na następny dzień. Tu nie brali ochotników, ale pod przymusem. Musieliśmy pójść do wojenkomatu w siedzibie rejonu w osadzie Kuszma. W tartaku dali nam 3 dni wolnego, chleb na 3 dni i pojechaliśmy. Na komisji wzięli 7, a resztę wrócili.

Mieliśmy wtedy dobrą pracę - cięliśmy stare brzozy dla gorzelni. Za 4 metry sześciennie pocięte i złożone dawali kilogram chleba i 100 rubli. Za 100 rubli można było kupić wódkę, a za wódkę można było dostać u Ruskich wszystko: i kartofle i mąkę. W tej pracy wszyscy pomagali i brat, i siostra i matka. Tartak wtedy stanął i wszystkich wzięli do sianokosów. My chodziliśmy do lasu, a ponieważ wtedy nie było już komendanta, nikt na nas nie doniósł, że nie pojechaliśmy do siana. Ale wtedy (pod koniec czerwca) uciekł jeden chłopak od nas

z wojska. Poszedł wtedy do naczalstwa i zaczął się kłócić, dlaczego jego dziewczynę dali do sianokosów. Tamten odpowiedział, że nie ma ludzi, bo do wojska poszli. W takiej sytuacji musieliśmy pójść na sianokosy. Przywieźli wtedy do pracy do nas po raz drugi Estończyków. Pierwszy raz przywieźli estońskich żołnierzy zimą 1940 r. W tartaku robili oni podkłady, słupy telegraficzne, deski, kopalniaki. Przy okorowywaniu pomagały im polskie dzieci, zarabiała one przy tam więcej niż dorośli. Estończycy przy pracy co godzinę robili sobie 15 minut przerwy, podczas której grzali się przy piecu. Pracowali przez zimę, na wiosnę ich zabrali.

Po sianokosach, pewnego razu, gdy po pracy położyłam się (miałam się położyć po pracy, bo się źle czułam, gdyż miałam obniżony żołądek) przyleciała koleżanka i woła: "Ty leżysz, a my do wojska jutro idziemy. Na górze grają, tańczą chłopcy i dziewczęta".

Pojechaliśmy bez rozliczenia, mama dała trochę chleba na drogę do wojska.

Z wojenkomatu poprowadzili nas na stację Oszczepków. Siedzieliśmy tam całą noc, pociągi jechały, ale nikt nas nie chciał wziąć. Wszystko z domu pozjadałyśmy, co będziemy kamienie gryzły? Na drugi dzień rano przyszliśmy wszyscy do wojenkomatu i powiedzieliśmy, że przedtem robiliśmy, mieliśmy chleb, a teraz będziemy z głodu zdychać? Zaczęliśmy prowadzić szefa wojenkomatu na stację, jeszcze po drodze go pszturchiwaliśmy. Przyszedł z nami na stację. W końcu kazał wstrzymać jakiś transport z dalekiego Sybiru. Wagony były poplombowane, kazał więc dyżurnemu ruchu rozplombować wagon. Dyżurny nie chciał, a wtedy tamten powiedział, że bierze za to odpowiedzialność. Rozerwał plombę a tam się okazało, że jechała kupa gnoju, bo wcześniej tymi wagonami wieźli gdzieś konie. Zajechaliśmy 60 km na tym śmierdzącym gnoju do Kamyszowa. Była tam duża stacja. Poszliśmy do dyżurnego ruchu, żeby nam otworzył poczekalnię, dużą, oświetloną światłem elektrycznym.

Odpowiedział nam , że to tylko "dla wojennych"- "A my to co psy?". Tak jak wyciągnęliśmy tego z wojenkomatu tak i tego wyciągnęliśmy i kazaliśmy mu otworzyć. Musiał otworzyć! Później przyszedł pociąg osobowy. Wsiedliśmy i zajechaliśmy do Świerdłowska na rano. Wyszliśmy ze stacji i pustym tramwajem pojechaliśmy do koszar, gdzie była zbiórka. Znowu kłopoty! Nie chcieli nas puścić do koszar, dopóki nie przedstawiliśmy kartki, że byliśmy w łaźni, a kartki dawali tam w środku. Dwóch chłopaków, którzy po drodze czepili się w biegu wagonu i pojechali z nami, przeskoczyło mur i jakoś przynieśli kartki dla nas. Poszliśmy do łaźni, wykąпалиśmy się i wróciliśmy z powrotem tramwajem do koszar, tam pokazaliśmy kartki, które nam dali w łaźni i nas wpuścili. Tam było jak w kościele- prycze w całych salach, drabiny do nich, bo te prycze coś z 10 pięter miały. Zbierał się tam cały transport Polaków z obłasti świerdłowskiej. Gdy wygonili nas na podwórko ranem okazało się, że były 4 wagony dziewcząt, a reszta to chłopcy.

Jechaliśmy pociągiem towarowym do Sielc stosunkowo niedługo. Dawali nam tam jeść. Transport zajechał na stację Dziwowo. Stamtąd trzeba było iść jeszcze 12 km do obozu. Szliśmy do rzek Oki pieszo, przez rzekę przeprawiliśmy się promem. Prom zabrakł cały nasz transport na dwa razy.

W Sielcach wyszedł, na nasze powitanie jakiś porucznik. Ale, jak napisał mój kolega, zamiast chlebem przywitał nas gazetami. Był to oficer oświatowy.

Dziewczęta dali do ziemianki. Ziemianki były tak długie, że jak weszliśmy do nich, to stanęliśmy przy drzwiach, bo bałyśmy się dalej iść.

Na drugi dzień przyszedł "kupiec" z batalionu kobiecego- porucznik Brzostowski. Poukładał nas w czwórki i powiedział, czysto po polsku: "Trzy krzaki w przód!" Był to ruski Polak. My zaśmiałyśmy się, a on wtedy zaklął: "J.. twoju mat".

Był to początek września-żołnierze I Dywizji pojechali już na front. My dostałyśmy się do 2 Dywizji. W jednej drużynie było nas 7 z jednej wioski. Mieliśmy dobrego dowódcę-był nim podporucznik Bodziuch z przedwojennej armii. Dowódcą batalionu był porucznik. Dyscyplina była okropna, ale człowiek dostał przynajmniej trzy razy dziennie jeść, a karmili dobrze. Chleba 80 dag nie dawali od razu, bo by człowiek od razu zjadł, ale do każdego posiłku.

Dowódca był dobry, za to ten drugi-Brzostowski to był wariat. Jak szliśmy na ćwiczenia, to zawsze nieśli nosze. Łamali sobie ręce, nogi. Natomiast nasz dowódca, jak widział, że się zmęczyliśmy, to mówił, żebyśmy sobie usiadły. Może dowódca chodził gdzieś na kawalerkę? Siadał gdzieś pod jałowcem i zasypiał, a myśmy siedziały cichutko, żeby go nie budzić, żeby spał jak najdłużej. Raz zaprowadził nas na ćwiczenia nad Okę, miał nas uczyć musztry, ale przyleciał akurat samolot, więc pobiegliśmy popatrzeć. Zobaczył nas dowódca batalionu. Za karę pogonili nas po piachu.

Później pytali się, kto ma 7 klas, czy szkołę zawodową- te brali do szkoły oficerskiej. Z drużyny poszły dwie: Zosia Kosztołowicz (po 2 klasach szkoły handlowej) i Janka Tyszler (po gimnazjum). Ja bym może poszła, ale słabo pisałam po rosyjsku, a tam był język wykładowy rosyjski i trzeba było pisać po rusku, a ja się nie uczyłam, bo mi nie trzeba było.

Potem dali nas do łączności-poszło nas pięć. Ja z koleżanką, sąsiadką dostałyśmy się do telegrafów, trzy pozostałe doszły później to dostały się do kompanii radiowej. Było nam tam dobrze.

Przed zimą chłopcy budowali ziemianki. My trzymałyśmy wartę i chodziłyśmy mech skubać. Raz-to było na dzień przed bitwą pod Lenino-szłyśmy na wartę-20 osób- tak wypadło co trzeci dzień. Rozprowadzający wartę postawił mnie ostatnią, w lesie, przy żywnościowym składzie dywizyjnym od 10 do 2 w nocy. Tam były tysiące sów, które bardzo

krzyczały w nocy. On odchodzi, a ja w płacz, bo się boję. Biedny chłopak musiał stać ze mną całą noc. To był 11 X, zimno w mundurku, płaszczy nam jeszcze nie dali. Podeszliśmy pod obóz i tam dał mi płaszcz naszego szefa - sierżanta. Gdy zmieniali wartę, to po mnie przyszedł pierwszą. Bóźniej już mnie nie dawali na wartę, tylko do tego namiotu, gdzie były aparaty telegraficzne. Z początku przyglądałam się jak ci oficerowie ruscy w polskich mundurach piszą. A potem ja siadałam i sama pisałam. Mieliśmy tylko 2-3 godziny zajęć po dwie na aparat. A tu 4 godziny miałam, więc sobie stukałam.

Na początku listopada przyszła jedna, ze sztabu dywizji, na obiad i powiedziała mi, że pojedę na front. Czekałam do wieczora... nic. Myślałam, że kłamała. Gdzieś koło północy przyszedł szef i kazał mi oddać koc, siennik, karabin, płaszcz, przescieradło, poduszkę. Zaprowadził nas pięć dziewczyn do namiotu, do pułku zapasowego. Było to 7 listopada, my w samych mundurach - zimno nam było. Zmarzłam tak bardzo, że nie mogłam wytrzymać. Wyszłam więc przed namiot i zaczęłam ruszać, grzać się. Tam spotkałam znajomego - był to Żyd z Rumunii, ale czuł się Polakiem. Spytał się mnie, co ja tu robię. Odpowiedziałam, że idę na front. Poleciał do sztabu, a gdy wrócił powiedział mi "bieda z tobą" "jesteś przydzielona do czołgów", ale jak się uprzesz, to nie pójdiesz". Później przyniósł nam dobre śniadanie, może z kuchni oficerskiej, a potem umundurował nas. Dostałyśmy płaszcze, koce, skarpety, onuce, buty nowe. Miałam z tym później kłopot, bo nie miałam tych rzeczy wpisanych na stanie.

W listopadzie wyjechałyśmy do I Dywizji do Smoleńska. Jechaliśmy przez Moskwę. W Moskwie jedliśmy na obiad kaszę gryczaną. Cały zapasowy pułk 1800 osób przybył do Smoleńska jako "dopełnienie". Były 2 wagony dziewcząt. Do Smoleńska przyjechali akurat szoferzy po owies dla koni. Trafili się szofer, który pochodził z Chodorowa (50 km od nas) Były nas trzy - poza mną, jedna spod Iwowa, a jedna z Podhajec.

Przyjechaliśmy samochodem. Samochody wiozły po 4 tony owsa i 40 Dziewcząt na wierzchu. Dali nas do jakiejś jednostki gospodarczej. Poszliśmy na ochotnika po chleb. Każdy tam pytał się, skąd kto jest. Odpowiadaliśmy, że z Rosji, a na to: "Ja się nie pytam skąd z Rosji, tylko skąd z domu". Okazało się, że jeden z pytających pochodził z wioski Komorochów 2 km za Bursztynem, który leżał 9 km od naszej wioski. Wtedy ten powiedział, że tu jest już jeden z Bukaczowiec. Był to Mietek Kochman. Mietek złamał sobie kiedyś nogę, która źle się zrosła i miał jedną nogę krótszą od drugiej, ale do wojska go wzięli. Spytał się mnie, gdzie jestem przydzielona. Na koniec dał mi jeszcze bochenek chleba. Na drugi dzień przyjechał chłopak od czołgów, nie z mojej wioski, ale razem byliśmy na zesłaniu, razem pracowaliśmy. Kiedy się dowiedział, że jestem przydzielona do czołgów, powiedział mi: "Nic ci nie powiem - chcesz idź, nie chcesz, nie idź. Tam same Ruskie..." To już starczyło. Powiedział mi jeszcze: "Uprzesz się to nie pójdiesz".

Zgłosiłam się z Bronią Podhajec na kelnerki do stołówki oficerskiej. Szef jej pochodził niedaleko z naszych stron. Gdy przyszliśmy jakiś ucieszony sierżant ruski dał nam dwa talerze kaszy manny. Rozłożyliśmy talerze, zamietliśmy ziemiankę. Jednak, gdy się trochę rozejrzałam, jak zobaczyłam te były kelnerki, to stwierdziłam: "Broniu, oni z nas bladej zrobią, uciekajmy!". Oni widać chcieli nowe, bo tamte im się przejadły.

Wróciłyśmy na polanę w lesie, gdzie przyjechali kupcy po żołnierzy z pułku zapasowego. Ja i moje dwie koleżanki zostałyśmy w kompanii gospodarczej. Trzeba się było narobić, po drzewo do lasu jeździć, ale byłyśmy same polskie dziewczyny, były tylko dwie Ruskie, jedna Piekarska, druga Michalewska. Dowódcą był starszy 56-letni Polak z przemysła. Do 1945 r. byłam w kompanii gospodarczej I Dywizji. Później trochę chorowałam m.in. miałam czyraki. Zostałam wtedy odesłana na pocztę polową, bo się już do ciężkiej pracy nie nadawałam.



Nie chciałam się zgodzić, bo w Zielonce pod Warszawą na warcie mało nie zastrzeliłam naczelnika poczty, gdy ten szedł bez hasła. Bałam się, że ten Ruski będzie się chciał mścić na mnie. Na początku 1945 r. jako kwatermistrz kompanii pojechałam do Bydgoszczy. Czekałam tam na swoją jednostkę, tymczasem kompania nie przyjeżdżała.

Będąc w kompanii pisałam listy do rodziny. Wysłałam im też 4 paczki 2 paczki żołnierskie 5-kilogramowe i 2 oficerskie 10-kilogramowe. Wysłałam ręczniki, sukienki.

Napoczątku zaczęłam pracować, gdy wkroczyliśmy na tereny niemieckie. Dowódcą był Ruski, ale reszta to Polacy. Dotarliśmy z pocztą do miejscowości 60 km za Berlinem.

Gdy przyjechałam po wojnie do Warszawy lekarka wysłała mnie do szpitala w Siedlcach w końcu czerwca 1945 r. na czyraki. Byłam tam miesiąc. Potem, ponieważ brakowało ludzi do roboty, zostałam salową w szpitalu. Miałam całe piętro-13 sal, korytarz i schody oraz pomieszczenia, gdzie przyjmował lekarz. Jako salowa pracowałam krótko, dali mnie do kuchni-dzieliłam porcje przynoszone z kuchni i karmiłam ciężko chorych na salach. Pracowałam tam 3 miesiące do zwolnienia z wojska. Potem pojechałam do siostry matki do Rozwadowa i tam pracowałam przy kolei.

Ojciec zwolniony z wojska (4 pp 2 dywizji) dostał działkę z osadnictwa wojskowego w pow. Chojna.

Ja pracowałam na stacji jako goniec, ale nie mogłam się pogodzić z kierownikiem ekspedycji towarowej. Chodziłam w mundurze, bo nic oprócz munduru nie miałam, a on mi kazał peron zamiatać. Powiedziałam mu, że mi na to polski mundur nie pozwala, żebym chodziła z miotłą po peronach. Przeniesiono mnie do magazynu towarowego. Pracowałam ogółem trzy miesiące. Wtedy przyjechał ojciec i zabrał mnie ze sobą. Pracując na stacji wujek mój dał jakiemuś żołnierzowi list do rodziny na zesłaniu, żeby wrzucił za granicą (listy cywilne nie szły), w którym był podany nasz adres. W 1946 r. reszta rodziny przyjechała transportem do Żagania.

Wymowa przynależna, religijna i inne Guepa 17414